Nr. 21. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 25 maja 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O publicznéj i literackiéj działalności JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

przez

Leopolda Winklera.

(Dalszy ciąg).

W pośród tak opłakanego stanu szkół rządowych, przybył do Warszawy w r. 1846 Józef Korzeniowski i objął posadę Dyrektora gimnazjum gubernialnego warszawskiego.

Józef Korzeniowski urodził się na Rusi Czerwonéj. Ukończył nauki w liceum krzemienieckiém, w którém celował nietylko w języku ojczystym, w językach starożytnych i historji, ale nadto pracował gorliwie nad nauką języków nowożytnych, t. j. nad francuzkim, niemieckim, angielskim i włoskim. Już w średnim wieku swego życia władał bardzo pięknie językami francuzkim i angielskim. Jeszcze w szkołach krzemienieckich, jako uczeń, zwrócił na siebie szczególną uwagę założyciela i opiekuna téj szkoły, Tadeusza Czackiego, oraz profesora Felińskiego, poprawną mową polską i czystością stylu. Zdolności pisarskie objawiły się w młodzieńcu także jeszcze w szkołach, a wykształcenie wysokie, zwiedzenie wszystkich prawie części dawnéj Polski, przebywanie w domach polskich, w których zgromadzali się uczeni, dało mu to doświadczenie i znajomość głęboką serca ludzkiego, które tak znakomitego pisarza na polu dramatyczném i powieściowém w nim wyrobiły.

Po Felińskim objął posadę profesora literatury polskiéj w liceum krzemienieckiém, po zwinięciu którego został mianowanym profesorem w uniwersytecie kijowskim, a następnie otrzymał miejsce dyrektora gimnazjum w Charkowie. Tu, mając pozycję materjalną lepszą, otworzył swój dom i dawał raz na tydzień wieczory, na których bywało kilku profesorów uniwersytetu charkowskiego Polaków, kilku urzędników miejscowych z rodzinami swemi i kilkunastu studentów Polaków, znajdujących się w charkowskim uniwersytecie. Niedługo wieczory te zamieniły się, jakby w prelekcje literackie, które rozbudzały w rodzinach polskich miłość ojczystych rzeczy, ojczystéj literatury i zachęcały młodzież polską uniwersytecką do regularnego uczęszczania na odczyty Józefa Korzeniowskiego, gdzie szukała pokarmu ducha i osłaniała się tarczą polskich myśli, polskich uczuć, polskiéj mowy i polskiéj literatury przeciw otaczającemu ją ze wszech stron obcemu wpływowi.

Lecz dla takiego zdolnego pedagoga i głośnéj już wówczas sławy pisarza, pole do działania w Charkowie okazało się zabardzo szczupłem. Korzeniowski zapragnął służby pożyteczniejszéj i towarzystwa literackiego, którego w Charkowie mieć nie mógł. Poczyniwszy zatém odpowiednie starania, z żalem szczupłego towarzystwa polskiego, a z większym nierównie młodzieży uniwersyteckiéj, opuścił to miasto małoruskie i przybył, jak to już wyżéj powiedziałem do Warszawy.

Poprzednikiem Józefa Korzeniowskiego był niejaki Filipow, Rossjanin, były sztabs-rotmistrz gwardji carskiéj w Petersburgu. Przyzwyczajony do życia rozproszonego, podejrzanéj moralności w Sodomie petersburgskiéj, tego sposobu życia nie widział potrzeby zmieniać w Warszawie. Bywając dawniéj w domach dygnitarzy petersburgskich i jenerałów, znalazł wnet wstęp do podobnych domów w Warszawie; a że był dobrze, salonowo wychowany, t. j. umiał podchlebiać, mówić nieźle po francuzku, grać grubo w karty i walecznie pić szam-

pańskie wino, doznawał tak miłego w swém towarzystwie przyjęcia, że na szczęście profesorowie i uczniowie rzadko go widywali. — Filipow zdał był cały ciężar służby na inspektora ówczesnego, dziwne zamiłowanie mającego w operacjach około występnych uczniów, na wspomnienie których, a mianowicie na sposoby, jak się odbywały, doznaje się takiego wstrętu i oburzenia, że wszystkie inne zresztą przymioty szanownego inspektora maleją, przy wadzie tak dobrze przypominającéj oprawców cytadelskich.

Pokazywał się niekiedy i pan dyrektor, lecz tylko przy wychodzeniu uczniów z lekcji o 12téj lub 4téj godzinie po południu. Wówczas oglądając, czy mundury na guziki są pozapinane, wkładał z najuroczyściéj poważną miną palec pomiędzy trzy haftki, zapinające kołnierz od munduru; bo niegodziwe malcy, jak mawiał, byli tak zmyślni, że zapinali na górną i dolną, a środkową rozpiętą zostawiali. O! zbrodnio, za którą gdy złoczyńcę schwytał, z tryumfem winowajcę i czyn w ręce stojącego przy nim i niecierpliwie oczekującego pana inspektora oddawał. Łatwo się domyśleć, jak ten ostatni obszedł się z nieszczęśliwą małoletnią ofiarą.

Co się działo w klasach, czy profesorowie dobrze uczyli, — ba, czy uczyli? o to zupełnie pan dyrektor się nie troszczył.

Mała liczba już była wówczas znanych ludzi, zdolnych profesorów w gimnazjum warszawskiém. Prócz Dominika Szulca, wykładającego literaturę polską, Żochowskiego profesora języka polskiego, Brzostowskiego profesora matematyki i może paru jeszcze innych, resztę przeważną liczbę, składało grono protegowanych przez pana dyrektora, a nawet osobiście znanych panu Okuniewowi, ówczesnemu kuratorowi.

Korzeniowski, objąwszy obowiązki dyrektora, zaczął swoją pracę od częstego wchodzenia na wykłady i kontrolowania bardzo ścisłego pilności tak profesorów, jako i uczniów.

Rozpoczęła się więc reforma w gimnazjum gubernialném warszawskiém.

Poważna postać i choć surowe, ale bardzo sprawiedliwe okazywanie niechęci uczniom niepilnym i zaniedbującym się nauczycielom ze strony człowieka, którego przybycie poprzedziła sława literacka, a przeciw któremu nawet potęga jenerała Okuniewa nieżyczącego sobie takiego dyrektora, nic poradzić nie mogła, sprawiły, że nauczyciele zaczęli gotować się na wykłady, bo wstydzili się dyrektora ze wszystkiém gruntownie obeznanego i wymagającego, a uczniowie przejęci do żywego słowami rozumnemi i energicznemi kochanego wówczas autora znanego dramatu „Karpaccy Górale,“ z ochotą zabrali się do naprawy straconego czasu. Powoli znikły i operacje, obrażające godność nawet dziecka, bo te nie były potrzebne, kiedy oko czujne zwierzchnika i ojca wszędzie było, przewodniczone prawdziwym taktem pedagogicznym.

Łatwo przewidzieć, jakie byłyby następstwa pracy Józefa Korzeniowskiego, jak wzorowe byłby utworzył gimnazjum i z jakiemi usposobieniami byłby puścił w świat młodzież, kończącą w niém nauki.

W tém ukaz carski r. 1847 znosi w Warszawie wyższe klasy gimnazjalne i zostawia tylko szkoły czteroklasowe. Tu działalność Korzeniowskiego straciła pole. Nie będziemy rozbierali powodów, jakie skłoniły cesarza Mikołaja za poradą Paszkiewicza, do czynu tak dobrze malującego charakter tych dwóch szczególniejszych w swoim czasie postaci, — dość, że w ciągu krótkiego czasu profesorowie, którzy dali się poznać, że są Polakami i nauczycielami polskich dzieci, albo otrzymywali emeryturę lub do odległych miejsc Królestwa zostali przeniesieni. Profesorowie zaś, znani ze swéj miłości do cara, carskich ukazów i carskich pomocników, otrzymali miejsca inspektorów na prowincji lub cenzorów warszawskiego komitetu cenzury.

W r. 1848 Józef Korzeniowski otrzymał stanowisko bardzo ważne członka rady wychowania publicznego i wizytatora szkół. Jak się z niego wywiązał, ile to jego publiczne życie sprowadziło dobrego w szkołach, jak umiał walczyć z przeciwnościami, zobaczymy w dalszym opisie jego wizyt po szkołach w Królestwie.

Pierwszy objazd szkół, jako wizytator, odbył Józef Korzeniowski pod rządami jeszcze Okuniewa i był to czas prawdziwego dla nowego wizytatora egzaminu nauczycieli i uczniów, poczém przekonał się, jakto sam potém powtarzał, o stanie opłakanym szkół na prowincji. Nieraz słyszałem Korzeniowskiego, w towarzystwie swoich przyjaciół i znajomych opowiadającego ciekawe szczegóły, malujące w kolorach bardzo niekorzystnych, tak niektórych zwierzchników jako i większość nauczycieli.

W tym czasie umiera Okuniew na wyspie Malcie, a jego były pomocnik Muchanow zostaje kuratorem. Nowy opiekun oświaty narodowéj tém się różnił przedewszystkiém od swych poprzedników, że sam nie chwytał uczniów niezapiętych na ulicy, lub długie włosy noszących, albo nareszcie niekłaniających się szlifom oficerskim. To już dało naszéj młodzieży szkólnéj wysokie o poczciwości nowego kuratora wyobrażenie. Pan Muchanow różnił się i w tém, że miał jakąś pretensję do nauki, do wiedzy — i z téj przyczyny otoczył się wkrótce swymi faworytami, dość nawet zdolnymi ludźmi, pisującymi korespondencje do dzienników rosyjskich. Ci panowie poglądy lingwistyczne, historyczno-jeograficzne niekiedy opracowywali i te swoje głębokie studja filologiczno-historyczne na własność kuratorowi uczonemu Muchanowowi ofiarując, upoważniali szanownego mecenasa naukowego do położenia swego zaszczytnego imienia, jako autora. Muchanow, łaskawie przyjmując ofiarę, wyrobił sobie w świecie pseudo-uczonym moskiewskim imię publicysty i badacza dziejów, oraz zbieracza gorliwego materjałów do historji państwa i narodu rossyjskiego i małych przy nim narodów sławiańskich, które gwałtem, według jego teorji, połączyć się z Rossją pragnęły. Muchanow i w tém różnił się od poprzedników, że uważał swe stanowisko za bardzo ważne do porozumienia się braterskiego między poczciwymi Polakami, jak ich raczył nazywać, lecz lekkomyślnymi z buntowniczém przeciw prawéj władzy usposobieniem, — a pokornymi i więcéj rozsądnymi Rossjanami.

Muchanow, ulegający wpływowi swoich ulubieńców, był zresztą dla wszystkich nieprzystępnym, obchodził się zwyczajnie ze swemi podwładnymi, najwyższych nawet stopni, sposobami cechującemi gbura, człowieka bez żadnych uczuć delikatnych. Wkrótce otoczył się członkami rady wychowania, osobistościami ślepo posłusznemi jego rozporządzeniom, niewpływającym na poprawienie smutnego stanu szkół, niezadowalniającego najmniéj nawet wymagających Polaków.

Wizytatorowie odbierali instrukcje zwracania głównie uwagi na język rosyjski, literaturę rosyjską, historję i jeografję Rossji, a nawet i na matematykę; gdyż pan Muchanow, dowiedziawszy się z pism perjodycznych i od wysłańców swoich o szkołach francuzkich głównie w kierunku matematycznym prowadzonych, jako człowiek postępowy, chciał przynajmniéj pozór ministra oświecenia europejskiego zachować. Języki starożytne podług pana Muchanowa były przedmiotami martwemi, bezpożytecznemi, umarłą przeszłość przypominającemi, do których zaliczał i język polski z jego literaturą.

Zupełnie przeciwnie zachowaniu się ówczesnych wizytatorów [1]), Józef Korzeniowski w każdéj szkole odrazu

*) Smaczniński, Stender i Sofianos, z tych pierwszy niegdyś jako dyrektor gimnazjum Piotrkowskiego odznaczył się

umiał ośmielić młodzież swą łagodnością, jaka przystoi koniecznie każdemu egzaminatorowi. Nauczyciele gorliwi pewni byli sądu sprawiedliwego; niedbali zaś wykręcić się doświadczonemu i cierpliwemu pedagogowi nie mogli.

niepospolitą energją i można powiedzieć był wzorowym zwierzchnikiem szkoły. Lecz jako wizytator był tylko postrachem nauczycieli i uczniów, a często względem pierwszych odznaczał się niesprawiedliwością. Jak tylko nie przypadła mu do gustu powierzchowność nauczyciela, już nic dobrego w nim z góry dopatrzyć się nie chciał. Dwaj drudzy wizytatorowie nie umieli ani słowa po polsku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

Polcia jeszcze w Mławie na popasie dowiedziała się o rewizji w Karlinie, o aresztowaniu służby i wyjeździe Artura. To ostatnie przejęło ją boleścią i radością zarazem. Serce jéj się ściskało na myśl, że go nie prędko zobaczy, ale Bogu dziękowała, że się w ręce Moskali nie dostał. Ona równie jak wszyscy zresztą sądziła, że Artur ostrzeżony, wyjechał, a Moskale, którzy tę ogólną opinję dzielili, wściekali się ze złości i pojąć nie mogli, kto go ostrzegł; bo denuncjacja nadeszła dopiéro w wilję rewizji, a Artur wyjechał już przed kilku dniami. O tém, że Karliński jako emigrant, nigdy, lub nieprędko będzie mógł wrócić do kraju, Polcia nie pomyślała. Były to czasy wiary i nadziei i każdy przewidywał katastrofę, która miała zmienić wszystko.

Polcia wiedziona sercem Polki, a trochę i kochanki, zapragnęła odwiedzić służbę karlińską w więzieniu, ale wszystkie starania okazały się daremnemi, i tylko dowodzący tam pułkownik zezwolił na posłanie im rozmaitych wiktuałów. Co tylko biedna mieścina miała najlepszego, wszelkie zapasy wędlin, ciastek, cukierków, poczciwe dziewczę zakupiło i posłało więźniom, a gdy Antoniemu powiedziano, kto wszystkie te specjały ofiaruje, uśmiechnął się stary pod wąsem i mruknął:

— Oho! paniczek dobrze wybrał.

Polcia była przekonaną, że unikając aresztowania, Artur schronił się do Prus tylko, że gdzieś niedaleko bawi, i lada dzień zjawi się w Staréj wsi i dla tego dość spokojnie wiadomość tę przyjęła. Zresztą serce jéj mówiło, że skoro tylko wolny i swobodny, da znać o sobie, lub przynajmniéj, że się o nim dowie czegoś od ludzi.

W Staréj wsi, wracające panie zastały ex-mecenasa w doskonałym humorze i niezmiernie serdecznego. Serdeczność szczególniéj była wybitną w postępowaniu z pasierbicą. W pokoiku swoim zastała ona prześliczne trémeau i bardzo elegancką żardinierkę przepełnioną świeżemi kwiatami. Pokazując to ojczym pocałował ją w czoło i rzekł z nieźle udanem rozczuleniem:

— Przyjmij to odemnie Poleczko i wierz, że choć się czasem oburknę, to cię kocham jak własne dziecko. Na starość człek robi się zrzędą .. trzeba mu to przebaczyć...

Trzeciego dnia po powrocie huk bicza się rozległ i przybyli państwo Adamscy oboje wraz z synem i najstarszą córką. Zezowata pani tak się zajmowała Polcią, tatulek tak jakoś przysiadał się do niéj, że to zwróciło uwagę nietylko saméj pani Zofji, nietylko babci, która w każdym młodym człowieku widziała admiratora wnuczki, ale nawet Polci, która cała zaabsorbowana ukrytém uczuciem, nie wiele się zastanawiała nad tém, co się w koło niéj dzieje, spostrzegła dziś jednak, że na coś się zanosi, że jest przedmiotem szczególnego jakiegoś zajęcia. Jak każda w tém położeniu kobiéta, zaczęła się ona w duchu gniewać na Felutka i uważać, że jest nieznośny ze swą fizjonomją czerwoną i porcelanowemi oczyma bleu du ciel. Ale nie przypuszczając nawet, żeby miała być przedmiotem frymarki, żeby ktoś ją chciał zmuszać, dość lekko te objawy traktowała.

Wieczorem zjawił się młody człowiek z sąsiedztwa, dobry znajomy Artura. Rozmowa wkrótce wpadła na rewizję w Karlinie i na wyjazd jego dziedzica.

— Ale niech ich też nieznam — zawołał p. Adamski — jak oni są doskonale uwiadomieni o wszystkiém... Denuncjacja przyszła w czwartek, a we wtorek Karliński już o niéj wiedział i wyjechał.

— Karliński nie przed rewizją wyjechał — odezwał się młody sąsiad, który chciał pokazać, że zna tajemnice Stanu.

— A dla czegoż innego ten raptowny wyjazd? — pochwycił Piotrowicz.

— Hm... — rzekł młodzieniec, — nie mam prawa tego wyjawiać.

Pola to słyszała i uczuła jakby ukłucie w sercu... wyjechał gdzieś daleko, podróż ta była widocznie przewidziana i przygotowana, a jednak nic jéj o tém nie powiedział, nie pożegnał się, nie zostawił wiadomości o sobie.

Towarzystwo jednak wciąż o Arturze mówiło.

— Mów pan co chcesz — prawił Adamski, — panie Alfonsie... może ten wasz pan Artur i odważny, i przyjemny, ale niech go nieznam jak umie pieniądze puszczać. Okropnie ten Karlin zaszargał .. Jeszcze lat parę a będzie na czysto...

— Oh! teraz się bardzo zmienił, zreformował...

— Zapóźno po śmierci wędrować.

— At! co mu tam będzie, — wtrąciła pani Adamska, — da on sobie radę, to panicz! ożeni się bogato, weźmie posag i koniec... jak wszyscy panicze.

— Ah! to prawda, — wznosząc oczy do góry dodała pani Zofja, — dziś świat taki, panowie młodzi tracą zdrowie i majątek póki starczy, a potém odbijają się na posagu biednéj żony.

— Zbyt surowo nas panie sądzą — zaprotestował młody człowiek — a najlepszy tego dowód dał właśnie Artur.

— No, a to jakim sposobem?

— Jakto!... nic państwo o téj sławnéj historji nie wiecie?

— Nie.

— Ani słowa...

Pola milczała, ale czarne jéj oczy tak się w mówcę wpatrzyły, że gdyby był w tę stronę spojrzał, byłby języka zapomniał w ustach. Na szczęście patrzał na starsze panie i spokojnie zaczął:

— Przed dwoma laty, szalała za nim w Paryżu księżna Ruspini, jedna z najbogatszych Włoszek... mówiono, że ma z jakie dwakroć stotysięcy franków do-

chodu, awantury wyrabiała, kompromitowała się a Karliński jednak nie chciał się z nią żenić...

— Księżna Ruspini — zawołała pani Zofja, na którą tytuły dziwny wpływ wywierały — czytałam coś o tém nazwisku, to jedna z pierwszych rodzin rzymskich.

— Musiała być stara i brzydka, — wtrącił Piotrowicz.

— Ale gdzież tam, — zaprotestował Alfons, — śliczna jak anioł, dwudziestoletnia wdówka, pół Paryża szalało za nią...

— I powiadasz pan, że się kochała w panu Karlińskim? — zapytała zaciekawiona pani domu.

Na zabój powiadam pani, na zabój, groziła, że się zabije... opowiadał mi to hrabia Alfred, który był tam wtedy.

— I czemuż ten warjat z nią się nie ożenił? — wtrącił Piotrowicz.

— Dla tego, jak się tłomaczył, że jéj nie kochał.

Rozmowa toczyła się w tym sensie daléj, ale dla Poli wystarczało to co usłyszała. I rozkosz nieznana i trochę strachu dziwnego opanowały ją w téj chwili. Kobiéta ma olbrzymi zasób próżności w sobie. Być rywalką księżnéj, pięknéj, młodéj i bogatéj, zapanować nad sercem, które tamtę odrzuciło!...

Za to samo można było pokochać Artura. A potém jakaż to szlachetność!... jaka wyższość!... Piękność, tytuł, bogactwo odrzuca dla tego tylko, że nie kocha... Ale znów czyż może być prawdą, żeby ten, który wspaniałéj Włoszcze oprzeć się potrafił, zakochał się w niéj, wiejskiéj dziewczynie?... Czemuż nie?... wszak wiadome są dziwactwa miłości.

I Pola zapomniała o wszystkiém i rozpromieniona, błyszcząca, wesoła, dumna i więcéj jeszcze jak dotąd zakochana, była przez resztę wieczora dziwnie uprzejmą, nawet dla Felutka... opowiadacza zaś, który jéj dał ten rys charakteru Artura, tak serdecznie uścisnęła za rękę, tak uprzejmie prosiła o niezapominanie o Staréj wsi, że biedny Alfons pomyślał sobie:

— Do djabła... czy się zakochała we mnie czy co? i połknął ślinkę.

Na drugi dzień pan ex-mecenas, upatrzywszy stosowną chwilę, poprosił żonę do swego pokoju, żeby ją, jak się wyraził sam do siebie, obrobić.

— Chcę ci powiedzieć wielką nowinę moja Zosiu — zaczął od razu.

— Co takiego?... byle nie jakie nieszczęście!... bo ja i tak ledwie żyję, — jęknęła imaginacyjna chora.

— Owszém, mojém zdaniem, nowinę bardzo dobrą. Mam doskonałego chłopca dla Polci, Adamski się o nią oświadczył dla syna...

— Oh! pozwól mój drogi, serce mi tak bije! — ze zwykłą przesadą wołała pani Zofja — czyż to być może, żeby Polcia już miała konkurentów?

Piotrowicz trochę niecierpliwie wzruszył ramionami, ale hamując się natychmiast, dodał:

— Hm!... ośmnaście lat blisko... czemużby nie?... Zawsze lepiéj wydać prędzéj, byle wydać dobrze... Mnie zaś młody Adamski wydaje się partją wyborną.

— Syn dorobkowicza — wtrąciła żona, która, jak wiemy, miała słabość do dobrze urodzonych.

— A! to tém lepiéj, jest nadzieja, że dobrze wychowany, widocznie jest skromny, praktyczny i nie zepsuty.

— Ale taki jakiś...

— Aha! — niecierpliwie trochę zaczął Piotrowicz — tobie by się chciało panicza jakiego... może takiego Karlińskiego?... co?... — Mecenas umyślnie to nazwisko wymienił, żeby się dowiedzieć, co też żona na to powie.

— Ja nie mówię... ale... przyznam ci się, że mi się daleko lepiéj podoba.

— Piotrowicz się zmarszczył, ale zapanował natychmiast nad sobą i złożywszy ręce, z udaną boleścią mówił:

— Ach! jakaś ty niepoprawna Zosieńko! kochasz twoją jedynaczkę, a rzuciłabyś ją w przepaść z zamkniętemi oczami... Cóżby ją za Karlińskim czekało? oto po paru latach niby pańskiego życia, nędza i bieda. Póki ja żyję, jeszczebyśmy kochane dziecko przytulili do siebie... ale ja nie młody, kochana Zosieńko, — mówił na rzewny ton nastrajając się Piotrowicz — mogę lada dzień oczy zamknąć, a wtedy co się z tobą stanie? Dożywocie powiesz... aha!... jest to naprawdę tyle, co nic moja droga. A jak ci płacić nie będzie mógł? lub nie będzie chciał, to co?... Będziesz go pozywać? tradować? naturalnie że nie... Ja znam tych paniczów, obełże cię, omami, wykpi z ciebie, przy pomocy żony, grosz ostatni, a gdy i ten zmarnuje na karty lub zbytki, to was zostawi w nędzy, a sam z jaką baletnicą w świat czmychnie, albo sobie w łeb strzeli... Moja kochana — dodał po chwili spokojnym tonem — Pola przecież twoją jest córką, i mnie téż ten interes nic a nic nie obchodzi, ale ją kocham serdecznie, a ciebie jeszcze więcéj i nie chciałbym, żebyś ty słaba i cierpiąca, przywykła do wygód i komfortu, miała być kiedyś na nędzę narażona, oh! gdyby duch mój z góry zobaczył to kiedy!...

I zręczny blagier zasłonił sobie ręką oczy, a zarazem uczuł, jak pani Zofja drugą jego rękę do ust przyciskała.

— Ja wiem mój drogi — mówiła prawie ze łzami i prawdziwie wzruszona — że ty mnie i Polcię kochasz prawdziwie, ale widzisz...

— O tak... — zawołał Piotrowicz, — Bóg widzi, że was kocham, a Polcię nawet za wiele!... bo dla jéj interesów poświęciłem własne i skrzywdziłem moje dzieci!...

To już było niezręczne i przesolone, bo żona wiedziała trochę, jak on prowadzi opiekę. Dla tego ta apostrofa nie wywołała drugiego pocałunku.

Ex-mecenas to spostrzegł i zaraz zmienił rozmowę.

— A teraz moje dziecko — rzekł siadając przy niéj — pozwól mi, że ci wyjaśnię korzyści związku z Adamskim.

I tak rozpocząwszy, w szerokiéj i bardzo zręcznéj mowie wytrawny adwokat rozwinął naprzód cały obraz szczęścia, jakiego Polcia spodziewać się może w pożyciu z tak spokojnym, porządnym, niewinnym (na niewinność Felutka kładł nacisk) chłopcem, jak był młody Adamski, daléj, niby jako rzecz drugorzędną, wytłumaczył jéj wszystkie korzyści, wynikające ze zmiany dożywocia na kapitał.

— Dla mnie to rzecz będzie trochę niewygodna — mówił między innemi — będziesz mnie znów trapiła pytaniami co zrobić z kapitałem — będziesz chciała leczyć się i jeździć za granicę. Ale dla ciebie zysk ogromny. Będziesz najprzód panią niezależną swego majątku a nie dożywotniczką, któréj każdy dzień życia jest ciężarem dla zięcia... nie on od ciebie, ale ty od niego będziesz zależna... i nie możesz żadnym sposobem w karbach trzymać, bo majątku ani ci stracić, ani komu innemu oddać nie wolno. Poszedłszy zaś za moją radą, możesz mieć z jakie 30,000 złotych dochodu, mieszkać w mieście i dzieci obsypywać prezentami, a sama żyć jak zechcesz i jak twoje przywyknienia i choroba wymagają... swobodną... panią swéj woli, niezależną od nikogo.

Pani Zofja kochała córkę, ale kochała i siebie i życie wygodne i komfort, i doktorów i miasto i podróże.

Instynkta jéj, kobiéty i matki, były za Karlińskim, a w ogóle przeciw Felutkowi, ale egoizm mówił za tym ostatnim. Zresztą nic mu naprawdę zarzucać nie mogła. Gdyby jéj ktoś był dowiódł, że za Adamskim Polcia będzie nieszczęśliwa, byłaby się wyrzekła wszystkich ko-

rzyści, ale tego nikt dowieść nie mógł, a przeciwnie mąż jéj, z szatańską zręcznością udowodnił odwrotnéj właśnie prawdy.

A zresztą owe przerażające obrazy nędzy, któréj się rozpieszczona kobiéta lękała więcéj jak szatana, postawione obok mieszkania w mieście, podróży, zamożności i spokoju, mogły zawrócić silniejszą nawet głowę.

Nakoniec matka Poli, wierna i uczciwa żona dwóch starców, nie kochała naprawdę nigdy i nie pojmowała téż potęgi tego szczęścia, które się miłością kochanków zowie.

Ostatnie wahania rozbił wreszcie Piotrowicz następującym argumentem:

— Rób jak chcesz, moje dziecko, jesteś matką, ale pamiętaj, że druga taka partja nie łatwo się znajdzie. Wiesz, jaka jest teraz młodzież i co warta, a jeżeli do jakiéj ruchawki przyjdzie, będzie o nią jeszcze trudniéj. Co zaś do Karlińskiego, gdyby nawet rozsądna matka mogła mu córkę powierzyć, to tak nie ma co mówić o tém.

— On się zdawał kręcić koło Polci... — zaprotestowała matka — która choć porzuciła już stronę Artura, nie chciała się przecież wyrzec myśli, że tak dystyngowany i dobrze urodzony kawaler brał się do jéj córki.

— Co ty mu wierzysz!... on się do każdéj bierze... libertyn... ale jak tylko spostrzegł, że to na serjo traktujecie, w świat czmychnął... bez pożegnania nawet... Przecież gdyby naprawdę o Polci myślał, byłby wstąpił, zresztą choć napisał... Już ja się znam na takich paniczach, albo skończy w szynku... lub na szubienicy, albo się ożeni z panną, co ma posag w gotówce, i gruby...

Argumenta były nie do zwalczenia, zwłaszcza dla kogoś, kto już był przekonanym a była nią niezawodnie pani Zofja po parugodzinnéj z mężem rozmowie. Była to jednak łatwiejsza dopiéro połowa zadania. Piotrowicz wiedział, że opór żony zwycięży, a daleko więcéj lękał się oporu Polci. Że zaś bał się ciągle zjawienia owego kogoś upoważnionego, więc całą sprawę pragnął jak najprędzéj przyspieszyć.

Wytłumaczywszy więc żonie że Adamskiego zbyt długo bez stanowczéj odpowiedzi trzymać nie można, uzyskawszy od niéj przyrzeczenie, że z córką pomówi, uściskał ją, ucałował i tak nakręciwszy maszynę, czekał rezultatu.

Jakoż po paru dniach zastanawiania się, rozmysłów i wzdychań, po wielu a wielu odmówionych zdrowaśkach, pani Zofja, upatrzywszy chwilę, gdy Polcia czytała książkę w swoim pokoiku, przysiadła się do niéj i w milczeniu zaczęła ściskać jedynaczkę. Polcię ten początek nie zdziwił bardzo, bo na matkę przychodziły dość często te sentymentalne paroxyzmy. Pieszczoty więc odpłaciła pieszczotami serdecznemi.

— Moja ty pieszczotko najdroższa — zaczęła nareszcie matka — czy téż ty kochasz biedną mateczkę twoją?

— Czy może téż matunia pytać nawet o to — odrzekło dziewczę z miłością wpatrując się w matkę.

— Ale czy mnie zawsze kochać będziesz... nawet gdy się rozłączymy, gdy za mąż pójdziesz?

Polcia poczuła rumieniec na twarzy — myśl o Karlińskim błysnęła w jéj główce, i kryjąc twarzyczkę na piersiach matki, wyszeptała:

— Oh! zawsze, zawsze mamuńciu — a potém podnosząc głowę nieśmiało, dodała: Ale zkądże ta myśl moja mamo? Wszak ja wcale za mąż iść nie myślę... nie mam nawet żadnego konkurenta... I znów się zapłoniła czując, że kłamie.

— Oh!... oh... figlarko! udajesz, a to niedobrze być nieszczerą dla matki...

Pola w téj chwili miała ogromną ochotę rzucić się na szyję matce i wyznać jéj wszystko, ale wstrzymał ją ten wstyd dziewiczy, który każde pierwsze uczucie taić każe do ostatniéj chwili. Zresztą, usposobienia dwóch kobiét były zbyt różne, żeby między niemi miała panować owa ufność nieograniczona. Bez zdawania sobie sprawy Polcia instynktowo czuła, że matka nie zrozumie jéj i nie pojmie, więc marzenia swe chowała dla siebie saméj. Co więcéj, stosunek był między niemi taki, że córka matką zdawała się opiekować, a nie matka córką. Smutki swe, zmartwienia, przykrości od ojczyma doznawane, dziewczę dzieliło tylko z babcią, a natomiast koiła ona łzy matki, uspakajała jéj drażliwość, dodawała jéj sił i energji.

Milczała więc Pola i tylko ognistemi oczyma wpatrywała się w matkę.

— Tak, tak moje dziecko drogie, — mówiła pani Zofja — zazdroszczą mi już ciebie... chcą mi cię zabrać... a ja nie mam prawa odmawiać, bo widzę, że to dla twego szczęścia... bo ci potrzeba już opieki... a moja nie na długo ci zapewne wystarczy...

— O! moja mamo droga! nie martw mnie takiemi przypuszczeniami... — zawołała córka serdecznie tuląc się do matki...

— Jak będziesz w moim wieku — ciągnęła filozoficznie matka — będziesz spokojniéj na takie przypuszczenia patrzeć... ale bądź co bądź... przeznaczeniem kobiéty iść za mąż... a choć jabym cię jak najdłużéj przy sobie zatrzymać chciała, ale nie godzi się dobréj odrzucać partji... bo o nią nie łatwo... a od tego szczęście całego życia zależy... No jakże? podobał ci się?

— Ale kto? — rumieniąc się i spuszczając oczy cicho wyszeptała Pola.

— Jakto?... nie domyślasz się? Feluś Adamski.

Nazwisko to jak piorun uderzyło w błękitny horyzont myśli dziewczęcia. Pewna, że cała ta rozmowa toczy się o Karlińskim, Pola utonęła cała w najrozkoszniejszych marzeniach. Marzenia te znikły jak sen uroczy.

Drgnęła, wyprostowała się i patrząc na matkę prawie obłąkanemi oczyma, powtarzała:

— Co?... co?... co?...

— Pan Adamski prosił ojca o twoją rękę dla syna... czy cię to tak dziwi?... wszak musiałaś uważać...

— Ależ to żarty! moja mamo... to niepodobna!...

— Nie żarty moje dziecko... wcale nie żarty...

— I mama myśli, że jabym za niego poszła?...

Pani Zofja zmięszała się trochę, ale właśnie to stanowcze odezwanie się drasnęło jéj miłość własną. Wiadomo, że nie ma większych despotów jak istoty słabe i rozpieszczone.

— Czemu nie? moja droga, wprawdzie on nie jest bardzo przystojny... ani miły... ale o to mniejsza w pożyciu.

— Ależ mamo! — zawołała biedna Pola, — co mamie się dzieje, ja go nie kocham, nigdybym kochać nie mogła.

— Tego kobiéta nigdy na pewno powiedzieć nie może... masz na mnie przykład.. Twój ojciec mógł być moim dziadkiem, a poszedłszy za niego, przywiązałam się tak szczerze!... Zresztą moja najmilsza, życie to nie romans... lepiéj trochę mniéj szalonéj miłości, a więcéj podstaw prawdziwego szczęścia i spokoju... bo spokój w życiu to wszystko... A Adamski daje wszelkie gwarancje, że będzie najlepszym mężem. Skromny, delikatny, dobrze się prowadzący, praktyczny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z HEINEGO.

O! dziewczę urocze moje,
Do brzegu zbliż łódź twoją małą,
I rączkę podaj mi białą,
Siądź przy mnie, pogwarzym we dwoje.

Przy sercu złóż główkę znużoną,
I nie drżyj, nie lękaj się wcale,
Toż co dzień, choć morze wzburzone,
Bez trwogi łódź puszczasz na fale.

Serce me morzu wyrówna,
Ma odpływ i przypływ i fale —
I perła niejedna kosztowna
Kryje się w jego krysztale.

Korynna.

Z PRZYRODY.

Artykuł trzeci.

JAN OPPOLZER
i nowoczesne lekarstwo*).

Przyrodnictwo w tych czasach żywo zajmuje czytelników. Rozpowszechnianiem téj umiejętności zdobytéj badaniem przyrody silą się uczeni, ażeby wpoić w niewtajemniczonych właściwe pojęcia i wyobrażenia, jakich oni nabyli i wykazać ostateczne badań wyniki. W zakres wiedzy z przyrodnictwa wchodzi także i umiejętność wraz ze sztuką leczenia chorób czyli lekarstwo. Szczególną atoli jest rzeczą, że nie ma żadnéj umiejętności, o któréjby publiczność miała fałszywsze i mylniejsze pojęcie i wyobrażenie nad to, jakie ma o lekarstwie (medycynie). Wpływają na to różnorakie okoliczności.

Fabrykańci leków (medykamentów) starają się popularyzowaniem fałszować rozmyślnie wyobrażenia i pojęcia o lekarstwie (medycynie) celem pozbycia się jak najspiesznieјszego, a jak najkorzystniéj swego towaru. Druga przyczyna leży w samym sposobie rozpowszechniania (popularyzowania) wiedzy z przyrodnictwa. Sama myśl, ażeby podać coś praktycznego, co natychmiast „w życiu zastosować można" wiedzie silących się na to rozpowszechnianie wyników wiedzy lekarstwa (medycyny) na szczególne bezdroża. Najwięcéj czytywane pisma czasowe albowiem podają dla téj przyczyny albo nic nieznaczące życiopisma o lekarzach, które jako niewinne pomijamy, albo ograniczają się na wzmiankowaniu bądź o nowo wprowadzanych w lekarstwo (medycynę) lekach, n. p. na uśmierzenie bólów w żołądku, bądź na przepisach, jak się zachować należy podczas panujących zaraźliwych chorób i t. p. Dobreby i to było, gdyby te wiadomości podawali lekarze, rzeczywiście biegli w swym zawodzie, a podawali je w porę tak, ażeby czytelnicy w sam czas zdołali uciec się po poradę do lekarzów, albo skierować do nich cierpiących swych znajomych. Niestety mamy bardzo mało prac, rozpowszechniających rzeczywiście zdrowe pojęcia o lekarstwie (medycynie); innym zaś sposobem, a mianowicie dwoma dopiéro co wzmiankowanymi, nigdy nie wtajemniczy się czytelników w cele nowoczesnego lekarstwa (medycyny). Po trzecie i to uwzględnić potrzeba, że zwrot ku nowoczesnemu lekarstwu (medycynie) jest jeszcze za świeży, ztąd i czasu nie stało na to, ażeby takie rozpowszechniające wiedzę o téj umiejętności wykłady mogły publiczność dostatecznie objaśnić. Po czwarte, osoby wykształceńsze nawet nie sprzyjają temu, ażeby ich oświecać w lekarstwie (medycynie) a to z czystéj obawy, ażeby te wiadomości nie osłabiły ich zaufania do umiejętności w leczeniu chorób, albo żeby one nie pozbawiły ich spokoju duszy w poglądach na choroby. Po piąte i na domiar temu wszystkiemu, a nie wahamy się bynajmniéj wyznać to otwarcie, że pierwsze kroki tego postępu ostatniego w lekarstwie (medycynie) były raczéj ujemne i zatrważające. Zdawało się bowiem zrazu, że o ile znamienicie postąpiono w sztuce rozeznawania chorób, o tyle sztuka leczenia onychże pozostawała ułudą.

Kto ze sumiennych lekarzów uczuwał wówczas pochop, ażeby w najpierwszych objawach nowoczesnego lekarstwa rozpowszechniać, zwłaszcza w obec niewtajemniczonych swe przekonania, że w lekarstwie (medycynie) zdobyło się wiele roz-umu, o ile się tyczyło rozróżniania chorób, ale natomiast utraciło się wiarę w potęgę umu, któryby zdołał leczyć choroby. Naturalném tedy, że musiało zabraknąć dla publiczności na tłomaczach nowych w lekarstwie (medycynie) zdobyczy, publiczność znów musiała źle zrozumieć to, co dochodziło do jéj wiadomości o tym nowym zwrocie lekarstwa (medycyny). O niém rozgruchła się bowiem wieść, że w samém łonie téj umiejętności, onejże mistrze sami zwątpili w jéj wartość i szydzą z niej nawet. Takiéj gratki trzeba było właśnie nieukom i szarlatanom. Ci bowiem obok radości mają jeszcze i interes w tém, ażeby teorja nie zgadzała się z praktyką. Takie sprzeczności szczególniéj im są na rękę. Spiknęli się tedy do wspólnego

*) Rozmyślnie przywracamy temu pokrzywdzonemu wyrazowi lekarstwo jego utracone prawo obywatelstwa w znaczeniu nauki i wiedzy, jakie mu nadaje zakończenie stwo. We wszystkich innych polskich i czysto sławiańskich wyrazach n. p. gospodarstwo, malarstwo, gwiaździarstwo, budownictwo, rolnictwo i t. d. zakończenie to nie oznacza środków, narzędzi, ale naukę, wiedzę i sztukę. Zakończenia stwo (stwor) ctwo (r) kiedyś było odrębnym, samoistnym wyrazem, istotnikiem, i miało znaczenie „zbiorowéj czynności ducha i ciała." Stanowi ono słoworód (radix) we wyrazach stwórca, stworzenie, stwórczy, stwarzać, tak u nas jak i w językach czysto sławiańskich n. p. w czeskim stvot (łodyga), stvor (stworzenie). Wyraz lekarstwo dziś najnierozsądniéj strącony do znaczenia środka, narzędzia oznacza medykament, środek do leczenia, lubo używa się w liczbie mnogiéj leki zamiast lekarstwa, medykamenta. Dla tego my będziemy zawsze używali wyrazu lekarstwo w znaczeniu medycyna, a wyrazy lek, (u, owi) a w liczbie mnogiéj leki (leków, om) w znaczeniu medykament (a). Radzibyśmy przywrócić nawet dawne zatracone znaczenie zamiast apteka wyrazowi lekarnia, zamiast szpital wyrazowi leczalnia, a to dla tego, że Czesi i czysto sławiańskie języki zatrzymali zamiast tych obcych dźwięków doskonale i nam zrozumiałe brzmienia: lek, lekarńa, lekarstvi, chorobnica (po czesku, serbsku i chorwacku) w znaczeniu: medicamentum, apotheca, medicina, szpital.

W powyżéj przez nas przytoczonym znaczeniu używał wyrazu „lekarstwo nasz Stryjkowski, na którego powagę powołuje się Linde, przytaczając: „Miechowiusz u Jana Olbrychta był doktorem w lekarstwie."

napadu na lekarską umiejętność i udało im się nawet zagłuszyć głos lekarstwa (medycyny), gdy ono było w chwilowéj a przemijającéj niemocy, mianowicie co do pojęć i wyobrażeń o leczeniu chorób wewnętrznych. Zakwitło tedy bujnie oszukaństwo z oszustwem i reklamą, a mianowicie w pismach, którémi obwijano zalecane leki ochotników-doktorów natury (!). Ci wysławiali swoje leki i środki jak najniedorzeczniejsze, potępiając leki z lekarń (aptek) i środki uczonych w lekarstwie.

Te to są przyczyny, dla których dziś nawet panują jak najkoślawsze pojęcia o wiedzy i o potędze lekarskiéj w leczeniu chorób i dla których obrano uczonych lekarzów z przynależnéj w ich wiedzę ufności, a oddano się w ręce szarlatanów i nieuków.

Niebawem aliści nowa szkoła lekarska odparła jak najświetniéj i jak najstanowczéj nicościowe (nihilistyczne) napady, gdy i ona opanowała z całą potęgą wiedzy dotąd pominiony najpotężniejszy lek (medicamentum) t. j. zimną wodę.

Już minął ten czas, gdzie myślący lekarze wątpili o obowiązku i o możliwości leczenia chorób. W najliczniejszéj atoli części publiczności, jak mówiliśmy, nie przestało po dziś dzień pokutować szydersko-wątpiące niemocy piętno, jakiém lekarstwo (medycyna) samo naznaczyło swe, dzisiaj już do dziejowéj przeszłości należące, przejście w obecne postępu tory.

Chcąc jasno i dobitnie przedstawić cel i skutki nowego zwrotu w lekarstwie (medycynie), najlepiéj będzie, gdy osnujemy to zadanie na życiopiśmie zmarłego, znakomitego a współczesnego nam lekarza. Wyświecając jego działanie, określając sposoby, jakie on sobie tą umiejętnością wyrobił znaczenie, i określając jego stanowisko w lekarskiéj wiedzy, wyjaśnimy najskuteczniéj owo zaćmienie, które w oczach publiczności zapadło na tę umiejętność.

Poprzednio jednakże wypada nam jeszcze pobieżnie rozpatrzyć się w przeszłości. Czém odróżnia się nowoczesne lekarstwo (medycyna) od szkoły dawniejszéj? Za taką uważamy tę, która trwała aż do początku niniejszego stulecia. Czém się te szkoły pomiędzy sobą różnią? — Te zagadnienia rozwiążą nam odpowiedzie na dwa inne zapytania t. j. co nazywamy chorobą? i gdzie ona tkwi?

Jakkolwiek obydwa te zapytania wydają się być bardzo prostemi, przecież nie było bardzo długo żadnych danych, ażeby na nie dosadnie odpowiedzieć. Wówczas nie było bowiem umiejętności o objawach życia, zwanéj biologją, ani nie było w ogóle umiejętności przyrodnictwa. Inne tedy umiejętności podtrzymywały chorągiew lekarstwa i czyniły to zawsze bardzo chętnie. Kusiły się o odpowiedzi na powyższe podwalinowe zapytania to theozofja, to chemja, mylnie tłomacząc przedwczesne swe doświadczenia. Poważny Stahl, słynny lekarz, profesor przy wszechnicy w Halle (1660 † 1734) odpowiadał: „choroba jest to zakłócenie działalności cielesnych, kierowanych przez duszę.“

Chemjatrycy, tworzący szkołę lekarską około 1650 roku, wprowadziwszy pojęcie o „ostrych sokach i ostréj krwi“, odpowiadali: „choroba jest zepsutą krwią.“ Zmieniano systema po systemie szukając siedliska chorób to w częściach płynnych ciała: „we krwi i sokach“ — to w częściach stałych: w „nerwach.“ Zawsze atoli trwano w przekonaniu powziętém z góry, że choroba jest istotą rzeczywistą, zwalczającą zdrowie, napadającą na ciało i mogącą się usadawiać w niém tam lub owdzie*). Lekarz miał zwalczać chorobę (Bogu dzięki że tylko w teorji!) osobiście; o części ciała zaś chore nie potrzebował się troszczyć bynajmniéj. „Oczyszczać ostre soki lub ostrą krew“, albo wypędzać bruździącego „djabła wcielonego w chorobę“, to należało do urzędu lekarskiego. Sprawowano téż ten urząd za pomocą leków częstokroć nader gwałtownych, a częściéj jeszcze arcy-dziwacznych środków kościelno-tajemniczych.

Z ludowych zabobonów, w które to jeszcze dziś z pełną ufnością wierzą, bardzo wiele z owéj pochodzą epoki. Mowa wiernie dotąd przechowała ówczesne wyobrażenia o „uosobionéj istocie choroby.“ I tak mówimy: „siedlisko choroby“, „opadła go febra“, „walczy z gorączką“, „popadł w suchoty“ i t. d., jak gdyby choroba była istotą namacalną. Po dziś dzień nawet wykształcone zresztą osoby nie rumienią się ze swéj nieświadomości, gdy wymagają od lekarza pomocy na jaką chorobę skórną, ażeby im zapisał lek jaki „na oczyszczenie krwi.“ W takich razach nawet zresztą najwykształceńszym kąpiele zdają się być mniéj „racjonalne“ niżeli leki z lekarni.

Pomimo takie wyobrażenia i pojęcia bywali we wszystkich epokach znakomici bardzo lekarze, których jako takich święci dziś nawet lekarstwo (medycyna). Możnaby zapytać: Jakiejże oni teorji hołdowali? — Odpowiedź na to łatwa. Przedewszystkiém badali oni starannie widoczne zmiany ciała, o ile to tylko można wzrokiem osięgnąć; zgromadzali jak najtroskliwiéj znamiona chorób i częstokroć rozróżniali znamiona rzeczywiste od znamion pozorowych z podziwu godną genjalnością i chociaż bynajmniéj nie wiedzieli, która część ciała była chorą, miewali doskonały pogląd nietylko na udział ogólnego ustroju w cierpieniu, ale i na większą lub mniejszą doniosłość choroby. Wnioskując bardzo trafnie z należycie ocenionych znamion choroby, z pewnością po dziś dzień uznaną jako stanowczą, przepowiadali objawy, jakie choroba w przebiegu okaże, i postępowali sobie stosownie do zasady: sprzeczne sprzecznemi (contraria contrariis), zasady po dziś uznanéj za prawdziwą, t. j. chłodząc gorączki, łagodząc boleści, a przytém uznawali, że leki tylko dopomagają przyrodzie, ale nie potrafią nią samoistnie kierować. Dla tego téż dobierali tylko leki i środki łagodne, nie gwałtowne, jak to już pouczał Hipokrates, wielki mistrz rzeczywiście jedynéj prawdziwéj szkoły w lekarstwie (medycynie) t. j. téj, która polega na badaniu i ocenianiu choroby zmysłami. Rzymski lekarz Celsius już sławił go za to, że: „medicinae studium a sapientia separavit“ oddzielił naukę lekarską od nauki filozofji i przez to nauczył, że li tylko za pomocą badania i śledzenia choroby objawów, a nie myślą z góry naprzód powziętą można się przyczynić do postępu w lekarstwie. Tą to właśnie zasadą ustalił całą umiejętność lekarską na niewzruszonéj podstawie. Z téj zasady wychodząc działali wszyscy i we wszystkich czasach znakomici lekarze. Jakiéj zaś hołdowali teorji, to przy téj zasadzie jest obojętném, gdyż teorja jak i światło służą raczéj dla objaśniania i tłomaczenia objawów. Ci lekarze byli w istocie rzeczy tylko systematykami t. j. spostrzegaczami i badaczami zewnętrznych, powierzchownych znamion chorób i nie mieli o istocie chorób żadnego głębszego poglądu.

(Dokończenie nastąpi.)

*) Zob. Virchow: „Die Einheitsbestrebungen in der wissenschaftlichen Medicin.“ (1849).

PRECZ UROJENIA!

Precz urojenia — błędny kto marzy
O rajskich chwilach uniesień,
Dziećmi w kolebce myśmy już starzy,
I w naszém sercu światowa jesień
Zachwytów kwiaty powarzy!

Precz urojenia — cacka dziecięce
Jest czynów w przyszłości dzielność.
Zwolna zielone nadziei wieńce
I młodych uczuć nieskazitelność
Rzucamy w życia pielgrzymce!

Precz urojenia — gwiazdy ułudy
Śród cieni nocy zatoną,
Wkrótce przywdziejem szatę obłudy,
Spiesząc gdzie ognie ofiarne płoną
Na cześć bożyszcza rachuby!

Precz urojenia — postępu duchy
Serce zaklęły już w kamień,
Śmiech nas obudzi szyderstwa głuchy
Z krainy snów i omamień,
I świata spęta łańcuchy!

Precz urojenia — komedją życie,
A szczęście to zwodne blaski
Kto pojął swoją grę należycie
Odbierze huczne oklaski
Na ziemskiéj wielkości szczycie!

Uriela.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Posag. Powieść przez Jana Zacharjasiewicza. Warszawa. Nakładem Michała Glücksberga. — 1872.

Powieść jest w naszych stosunkach najdonośniejszą gałęzią piśmiennictwa, — posiada szerokie koło czytelników, w pismach tak zwanych „belletrystycznych" jest głównym, niezbędnym przedmiotem nakładcom naszym, którzy z wydawnictwem dzieł naukowych, poważnych nadzwyczaj być muszą ostrożni; niekiedy nawet zyski przynosi, — słowem jako towar literacki niemałym cieszy się popytem. Powołani więc i niepowołani biorą się tłumnie do uprawy chlebodajnéj niwy, która prócz tego łatwością pracy przyciąga. Podług wyobrażeń większości, którym niestety i publiczność hołduje aż nadto, nic tak prostego jak napisać powieść; potrzeba do tego trochę wyobraźni, pewnéj biegłości władania językiem i tak zwanéj „ogólnéj ogłady." Z materjałem tym siada się do biurka, wymyśla intrygę, postacie, plan cały — i powieść już w miesiąc gotowa. Wyroby takie fabryczne przydatne do bezpłodnego zabicia kilku godzin czasu, pisane dla zysków pieniężnych z zapomnieniem wzniosłego zadania powieści, w ostatnich zwłaszcza latach w wielkiéj pojawiły się liczbie i przy nierozwiniętym jeszcze krytycznym zmyśle publiczności wielu znalazły czytelników. W liczbie podobnych utworów znajdujemy niestety zbyt wiele powieści, które wyszły z pod pióra ludzi zdolnych, znanych już na tém polu z prac dawniejszych, z prac prawdziwéj i wielkiéj niekiedy wartości. Nie myślimy na nich rzucać kamieniem, uwzględniamy z boleścią stosunki, jakie niejednokrotnie do szybkiéj i mniéj starannéj zmuszają ich pracy, z drugiéj jednakże strony nie powinniśmy odstąpić ni kroku od sumiennéj, surowéj oceny. Fałszywą względnością zaszkodzimy tylko piśmiennictwu, ośmielając do pisania słabostek, zaszkodzimy publiczności, psując smak i zaciemniając jéj pogląd, zaszkodzimy wreszcie autorowi, dla którego nosce te ipsum jest niezbędnym warunkiem postępu. — Jan Zacharjasiewicz jest bezsprzecznie jednym z najzdatniejszych powieściopisarzy, — odznacza go szczególniéj niepośledni zmysł spostrzegawczy i znajomość serca ludzkiego. Ma on prawdziwe zasługi na polu drobnostkowych, delikatnych studjów psychologicznych, obleczonych w formę powieści; autor badał widocznie, pracował i myślał i bogaty plon swych spostrzeżeń spisywał starannie i zręcznie. Szczególniéj dusza kobiety stanowiła ulubiony przedmiot jego badań; posiadając wielki zmysł estetyczny, pociągany wszystkiém co piękne, urocze, z prawdziwą rozkoszą studjował tę delikatną, misterną pajęczynę uczuć kobiecych, z tysiąca złożoną niteczek. Uroczość ta i subtelność jest główną cechą Zacharjasiewicza; możnaby go słusznie porównać poniekąd z Feuilletem. — Wysoko cenimy zdolności Zacharjasiewicza i dla tego z tém większą przychodzi nam boleścią w najnowszych jego pracach zauważyć zwrot ku gorszemu, pewną hyperprodukcję, która niemniéj wielkie zgubiła talenta, któréj nieuniknionem jest następstwem brak rozmysłu, staranności i pracy, słowem słabość pojedyńczych utworów. Powieść „Posag" jest nowym spostrzeżenia tego dowodem. Florjan, młodzieniec szlachetny, jedynak zubożałéj senatorowéj, kocha pannę Elżbietę, nieładną, ale rozumną, wykształconą i zacne posiadającą serce, — córkę państwa Izajaszów, mieszczan zamożnych, uczciwych lecz prostych. Różność stanowiska społecznego staje się wkrótce przyczyną drobnych niesnasek; senatorowa podejrzywa państwa Izajaszów o lekceważenie z powodu ubóstwa, rodzice panny natomiast posądzają stronę przeciwną o zwykłą dumę rodową, któréj tylko względy pieniężne na czas pewien zamilknąć kazały. Posądzenia te mają wpływ pewien na parę zakochanych, która jeszcze do wzajemnego nie doszła zwierzenia. Mimowoli kilkakrotne wywięzują się przymówki, które, drażniąc umysły, skłaniają strony obiedwie do większéj powściągliwości. Mimo to zgoda jest blizką a z nią razem chwila oświadczyn, ale niespodziewany wypadek nową i nieprzebytą gotuje przeszkodę. Pan Izajasz od zapomnianego krewnego dostaje nagle list z Gdańska a z nim razem nadzieję sukcessji w okrągłéj sumie miliona. Nieszczęśliwa gwiazda przywodzi Florjana właśnie w chwilę pierwszych uniesień. Ojciec, matka i córka, rozdrażnieni poprzedniem nieporozumieniem, nie szczędzą mu gorzkich przycinków; wyznanie dawno tajonéj miłości byłoby wśród takich stosunków potwierdzeniem niegodnych podejrzeń, — Florjan opuszcza dom Izajaszów, postanawiając z ich strony wyczekiwać pierwszych kroków ku zgodzie. Razem z nadzieją miljona zjawia się w domu upojonych mieszczan świat salonowy Warszawy i tysiące wzdychających wielbicieli. Pomimo wyrzekań Izajasza, który pochowawszy krewnego powrócił wprawdzie z miljonem ale dziwnie zgnębiony i smutny; matka i panna Elżbieta rzucają się w rozkoszny wir zabaw, matka z wrodzonéj próżności, panna chcąc zastraszyć i ukarać dumnego Florjana. Ale Florjan źle tłómaczy postępki Elżbiety i tłumi pozostałe

uczucie, a panna w gronie hołdujących jéj książąt i hrabiów zapomina o biednym młodzieńcu. Hrabia Lulu otrzymuje jéj rękę, — ale krótko przed ślubem, dzięki staraniom odpalonego wielbiciela naczelnika Bonawentury, wychodzi na jaw przyczyna głębokiego smutku i śmierci pana Izajasza: miljon, z którym Izajasz przyjechał był z Gdańska miał służyć na cele publiczne, ale uczciwy dotychczas mieszczanin, któremu umierający ustnie powierzył swą wolę, nie przeczuwając istnienia piśmiennych dowodów, nie mógł oprzeć się silnéj pokusie i jako jedyny spadkobierca zataił przeznaczenie miljona (!) Wyrzuty sumienia do przedwczesnego wtrąciły go grobu. Odkrycie to zamienia wesoły, ożywiony dom Izajaszowéj w ponurą celę klasztorną; hrabia Lulu odesłał pierścionek i wyjechał z kraju przed liczną zgrają wierzycieli. Panna Elżbieta po stracie wszelkich nadziei oddaje rękę podstarzałemu Witowi Ostradze, który żeniąc się wypłatał figla licznemu gronu spadkobierców. Skępstwo i brutalność małżonka zmusza Elżbietę do samotnego mieszkania w Warszawie, a los ironiczny pozwala jéj teraz dopiero objąć w posiadanie ów miljon, przyczynę wszelkich jéj nieszczęść. Pan Bonawentura uniesiony zemstą sfałszował był wszelkie piśmienne dowody, w braku których majątek przechodzi znowu na własność jedynéj krewnéj — Elżbiety, chociaż słuszném obciążony podejrzeniem.(!) Florjan żyje szczęśliwy przy boku małżonki Bronisławy, któréj szlachetny charakter, wytrwała praca, poświęcenie dla ubogich i chorych podbiły jego serce na zawsze. — Któż z was, szanowni czytelnicy, nie czytał podobnéj powieści? Szlachetny, ubogi młodzieniec odstraszony obawą podejrzeń, wywołanych miljonem posagu — jakiż to temat zużyty! Od pana Zacharjasiewicza mamy prawo żądać nowości. Mimo to, gdyby nam autor przedmiot ten w świeżych przedstawił był szatach, gdyby z wrodzoną zdolnością i wdziękiem był nam odtworzył starannie i z należytą prawdą ten proces sercowy, zarzut ten nie byłby słusznym. Niestety mistrzowskiéj ręki i wprawnego oka Zacharjasiewicza nie poznajemy w tym nowym utworze; pospiech w nim widoczny, powierzchowność, brak rozmysłu, wykończenia i dla tego brak prawdy. — Pan Florjan jest człowiekiem roztropnym, myślącym trzeźwo, poważnie, — tak go nam autor przedstawia. Zna on więc dumę matki i płynącą z téj dumy podejrzliwość i jako człowiek rozsądny nie może jéj bynajmniéj podzielać, mając zwłaszcza dostateczne dowody szczególnéj Izajaszów życzliwości. Dla czego ulega jéj słabym i ogólnikowym zarzutom, dla czego przyrzeka zwlekać krok stanowczy po poprzedniéj z panną rozmowie, która niezwłocznych wymaga oświadczyn? Autor punktu tego broni bardzo słabo, a punkt to najważniejszy w powieści.

Rozmowa u państwa Izajaszów, w któréj rodzice Elżbiety zbyt wyraźnie objawiają szereg swych podejrzeń, jest również bardzo niezręczną. Dla czego p. Izajasz bez przyczyny zaczepia Florjana, dla czego rozsądny pan Florjan zamiast przerwać i zmienić rozmowę, do ognia oliwy dolewa, dla czego, będąc pewnym przychylności panny, nie wyjawia jéj swego uczucia, jak tego wymaga stan rzeczy? Autor ostatni punkt zwłaszcza dostatecznie uzasadnić się stara, lecz dowodom jego nie łatwo uwierzyć. Pan Florjan, by niesłuszne rodziców rozwiać podejrzenia, by pannę od nich uchronić, byłby powinien niezwłocznie wyjawić cel swych odwiedzin; wstrzymywać mogło go tylko bezpotrzebnie dane przyrzeczenie i podejrzliwość we własném rodząca się sercu, ktoréj źródło nie jest nam jasne — a z niém razem cały fundament powieści. — Powierzchowność całego utworu niemniéj jasna w skreśleniu charakterów. Taki pan Florjan, młodzieniec szlachetny, hrabia Lulu, zrujnowany paniczyk za bogatym goniący posagiem, hrabina Oliwia, miłosierna dama, otoczona kotów gromadą, taki wreszcie pan Izajasz z małżonką, — to wszystko ogólniki, formułki, którym autor życia nie nadał. Jedyną postacią, z któréj autor przy staranném obrobieniu mógł był stworzyć charakter prawdziwy i nowy, jest naczelnik, pan Bonawentura. Pan Bonawentura przystojny, zdolny i szczególną w muzycznych produkcjach błyszczący biegłością, młodość swoją spędził na salonach, na zebraniach, wieczorach i kółkach, bawiąc gości muzyką i śpiewem, rozkochując się na dni kilka w każdym sopranie lub alcie, i coraz to piękniejsze o przyszłości snując marzenia. Na łódce marzeń rozkosznych dopłynął do fatalnéj czterdziestki i przykrém pouczony doświadczeniem, matrymonjalnych zaniechał projektów, usunął się zwolna z salonów, gdzie go młodsze zastąpiły talenta, i wiódł sobie żywot regularny, spokojny, wygodny, jak to zwykle zwolenniki celibatu. Dzięki swéj urzędowéj godności i znajomości pieniężnych obrotów, stał się przyjacielem, doradcą zamożnych mieszczan Warszawy, spijał z nimi buteleczki węgrzyna, zjadał dobre śniadania, obiady i ogólnym cieszył się szacunkiem. — Niestety założenie powieści nie dozwoliło autorowi charakterem tym zająć się bliżéj, a ku końcowi utworu autor bez żadnéj potrzeby w niezręczną zmienił go karykaturę.

Charaktery bohaterek powieści również niejednym rażą dyssonansem. Panna Bronisława zbyt wyraźnie w obec Florjana własnéj broni sprawy, narzekając na świat ten zepsuty, kochający tylko mamonę; pomimo gwałtownego charakteru, rozsądek jéj i wychowanie powinny ją od zbytniéj wstrzymać otwartości. Z drugiéj strony w nakreśleniu tego charakteru autor za wiele różowych dobierał kolorów. Bronisława, chociaż własną wyżywia się pracą, nie waha się jednak przyjąć w dom swój biedną wdowę z sierotą i chorą utrzymywać do śmierci. Sposób to idealizowania niezręczny i bardzo zużyty; dzisiaj, kiedy szpitale i liczne zakłady dobroczynne w chorobie i nędzy upragnionéj dostarczają pomocy, możemy tylko bohaterkę o brak praktyczności posądzać, albo o bezpotrzebne junactwo. — Nakoniec słów kilka o charakterze Elżbiety. Jest to rzeczą bardzo zwyczajną, że autorowie powieści, autorowie utworów scenicznych, dla dopięcia jakichkolwiekbądź celów, nieprzejednane tworzą tam kontrasty, gdzie zazwyczaj pewnéj harmonji i pewnych podobieństw spodziewać się można. Ojciec skąpy, synek rozrzutny, jeden z braci szlachetny i dobry, drugi znowu ideał zepsucia, matka pobożna i skromna obok córki zalotnéj wietrznicy, — oto zestawienia nierzadkie, którym prawdopodobieństwa odmówićby trudno. Zarodki charakterów przeróżnych przynosimy na świat ze sobą, koleje życia ubarwią je, zmienią, wykształcą, a pożycie w kole rodzinném może wpłynąć na charakter człowieka, może pozostać bez wpływu. Ztąd tak niezmierne w tym względzie różnice i tak wielkie zarazem podobieństwa pomiędzy jednéj rodziny członkami. Inaczéj już ma się rzecz z wychowaniem. Wychowanie — którego przedewszystkiém z wykształceniem jednoczyć nie trzeba, czerpiemy ze sfery rodzinnéj; zakres uczuć naszych i myśli, pojęcie zewnętrznego do ludzi stosunku, — słowem to wszystko co wychowaniem nazywamy zwykle, tworzy się w duszy naszéj w latach młodych i na silnych fundamentach pierwszych, niezatartych wrażeń, spoczywa zazwyczaj do śmierci. Lata te, tak ważne dla życia, spędzamy w gronie rodziny i dla tego wpływ jéj tak wielki, późniéj, kiedy natura nasza pewnych i stałych nabrawszy już kształtów, mniéj jest czułą na wpływy zewnętrzne, wrażenia te pierwszych lat młodych pod pewnemi tylko warunkami zupełnie zatrzeć się dają. Rychły wylot z gniazda rodziny, przejście do sfer całkiém innych, przytém praca nad sobą usilna, i w późniejszém jeszcze życiu zmienić nas mogą zupełnie. Warunkom tym mężczyzna niejednokrotnie odpowiedzieć może, — kobiécie trudniéj daleko. Kobiéta silniejszemi węzłami

połączona z kołem rodziny, które dla niéj całym prawie jest światem, nie występując z niego do chwili zamęźcia, do chwili zupełnéj dojrzałości ducha, mniéj uzdolniona do rozwagi i pracy nad sobą, daleko więcéj podlega tym wpływom sfery rodzinnéj, daleko rzadziéj pod względem wychowania wyswobodzić od nich się zdoła. — Pan Zacharjasiewicz przeciw uznanym tym prawdom popełnił błąd oczywisty. — Dom Izajaszów jest domem zacnych ale prostych mieszczan; pan Izajasz w latach młodych sługiwał w domach zamożnych, późniéj handel drzewem rozpoczął i dorobił się ładnéj fortunki; pomimo więc niejednokrotnych filozoficznych porównań i rozmyślań, jakie mu autor niestósownie kładzie w usta, nie posiada on ani wiedzy, ani towarzyskiéj ogłady, pani Izajaszowa kilka stopni niżéj stanęła od męża. Panna Elżbieta wychowała się pod okiem rodziców, odebrała wprawdzie wykształcenie, ale po za dom rodzicielski nie wyszła jeszcze w wir świata; oprócz przyjaciół i znajomych domu, kilku handlarzy, rzemieślników, oprócz grona nauczycielek i metrów nie widziała, nie zna jeszcze ludzi, — pan Florjan jest pierwszym okazem tak zwanych sfer wyższych, który jéj się poznać zdarzyło. Mimo to panna Elżbieta pod względem wychowania o całe niebo wzniosła się nad poziom rodziców; całe jéj wzięcie, ton mowy, zakres myśli, podniosłość uczucia mogą być tylko nabytkiem wychowania na prawdziwych salonach, wśród ludzi wyższych wiedzą i sercem. Jakże wytłomaczyć tę sprzeczność? Wykształceniem jakie posiada Elżbieta autor nie może się bronić. Wykształcenie bogaci tylko pojedyncze naszéj wiedzy gałęzie, lecz nie podnosi i nie uszlachetnia ducha naszego i serca w zakresie życia zwykłego i codziennych z ludźmi stosunków. Wykształcić nas w tym właśnie względzie, czyli, mówiąc zwyczajnie, wychować, zdolen tylko wpływ otaczających ludzi, stosunków wśród których żyjemy. — Zgodziwszy się w końcu z autorem, tęsknotę panny Elżbiety za światem wielkim, któryby odpowiadał wymaganiom i potrzebom jéj duszy, za całkiém uważamy naturalną. Ale czyż świat, w który ją miljon nieszczęsny wprowadził, potrzebom tym mógł odpowiedzieć? Czyż przy rozumie i szlachetném sercu mogła tak dalece próżnym zaślepić się blichtrem, nie poznać kryjącéj się pod nim nicości? —

Tyle co do pojedyńczych wad i niedoborów utworu, którego całość, jak wspomnieliśmy powyżéj, nosi piętno fabrycznéj roboty. Nie bylibyśmy zapewne czytelników tak obszerną trudzili oceną, gdyby nie nazwisko autora. Krytyka nasza nazbyt jest względną dla pisarzów ustalonéj już sławy; wolno im na karb zasług dawniejszych bezkarnie produkować słabostki, — krytyk, który z szczególną starannością początkujące nicuje talenta, kilkoma zazwyczaj frazesami o zasługach i uznanych zdolnościach autora z ciężkiego wywiązuje się obowiązku. Publiczność nie zrobi mu zarzutu, gdyż o uznanych zdolnościach nie wiele już można powiedzieć. — Rzecz ma się właśnie przeciwnie; postępy wsławionych pisarzy z niezwykłą winniśmy śledzić starannością, utwory ich sumiennéj poddawać ocenie, karcić ostro każdą słabość, każdy dowód wstecznego kierunku, gdyż na zdobytych już laurach jakże łatwo zniewieścieć i zasnąć.

J. M.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

Wybory 12 pierwszych członków do przyszłéj akademji umiejętności w Krakowie odbyły się w dniu 11go i 12go maja. Z dwóch połączonych wydziałów Towarzystwa Naukowego t. j. z wydziału nauk moralnych, oraz wydziału archeologji i sztuk pięknych, wybrano w pierwszym dniu następujących 8 mężów: Józefa Kremera, Wincentego Pola, Józefa Szujskiego, Antoniego Walewskiego, Karola Mecherzyńskiego, Lucjana Siemieńskiego, Juljana Dunajewskiego i Karola Estreichera. Z wydziału nauk przyrodniczych i lekarskich wybrano drugiego dnia: Józefa Majera, Teichmanna, Skobla i Kuczyńskiego.

Powyższa lista imienna wskazuje, iż wszyscy nowo wybrani należą do miejscowych uczonych krakowskich, że zatém wyborcy należący do Tow. Naukowego załatwili tę sprawę intra muros, bez uwzględnienia innych znakomitych powag uczonych nie mieszkających w Krakowie. Rażąca to na pierwszy rzut oka okoliczność, jak niemniéj wzgląd, iż pomiędzy wybranymi znajdują się imiona po za granicami krakowskiéj parafji zupełnie nieznane, jak n. p. p. Dunajewski, dała powód do licznych utyskiwań, których wyrazem jest artykuł wstępny „Kraju“ w Nr. 108 z dnia 14 b. m. — Zgadzamy się do pewnego stopnia z „Krajem“ i nie dziwimy się bynajmniéj, że zdumiewające całe nasze polskie społeczeństwo wybory krakowskiego towarzystwa wzajemnéj admiracji zmusiły go do wydania gromkiego krzyku oburzenia i zgrozy. Nie wątpimy, że nacisk jednobrzmiącéj opinji publicznéj przypomni wyborcom, że Warszawa, Lwów i Poznań zbudowane są także na polskiéj ziemi i że w ich murach mieszkają mężowie, których imiona zdobią już karty dziejów polskiéj umysłowości.

* * *

— Gazeta Toruńska w Nr. 107 porównywa Dr. **Rudolfa Gneista** z dorożkarzem, który krążąc w ciemnym kole murów miasta porywa się na etnograficzne wykłady o Chinach. W obec tak śmiałego porównania musimy przypuścić, iż Gaz. Tor. zapomniała, iż tenże sam profesor Gneist był wymownym obrońcą naszych więźniów Stanu z 1863 r. których czekał topór kata lub forteczne kazamaty, że tenże prof. Gneist jest autorem ogólnie za znakomite uznanych dzieł o historji i systemie angielskiego samorządu i angielskiego publicznego prawa — że tenże nakoniec prof. Gneist był stałym propagatorem sądów przysięgłych, wolnéj adwokatury i wszelkich postępowych zasad. — Można nienawidzieć jakąś społeczność, a przecież uszanować te ze składających ją jednostek, które szacunku są godne — można nawet różnić się z kimś w zasadach a oddać mu sprawiedliwość tam, gdzie na nią zasługuje. Sądzimy, że profesor Gneist zarówno z tytułu usług, jakie oddał naszym współbraciom, jak z tytułu niepospolitych zasług na polu naukowym powinienby być uwolnionym od tak bardzo lekkomyślnych porównań, jakich sobie pozwoliła Gazeta Toruńska.

* * *

— Towarzystwo „Historyczno-Literackie“ w Paryżu ogłosiło następujące zadanie konkursowe:

„Wykazać różnice w historycznym rozwoju, w prawie, w instytucjach politycznych, w bycie społecznym, w obyczajach, pojęciach, charakterze, jakie wbrew teorji panslawizmu odznaczają naród polski, w porównaniu z innemi narodami sławiańskiemi, szczególniéj zaś ze wschodnią, grecko-bizantyńską tychże gałęzią; wykazać zarazem cechy wspólności, jakie we wszystkich wymienionych kierunkach łączą Polaków z łacińsko-germańską Europą.“

Rozprawa ma wynosić 10—12 arkuszy druku, rękopisma nadsyłać należy pod adresem Sekretarza Towarzystwa (Paryż, Quai d'Orléans 6) najpóźniéj **do 1go marca 1873 r.** Najlepszéj rozprawie przyznaną będzie nagroda 1200 fr., autor pracy drugiéj z rzędu otrzyma 600 fr. Na posiedzeniu w **dniu 3 maja 1873 r.** Rada Towarzystwa przyzna obie nagrody.

Niepojmujemy jak Towarzystwo Histor.-Liter. mogło dać na konkurs temat tak szkodliwéj tendencji: Nie postąpiwszy od lat 40 ani kroku naprzód stara nasza emigracja dawała i daje zawsze dowody opacznego pojmowania stosunków krajowych. Gdyby członkowie Tow. Hist.-Lit. zechcieli pamiętać, iż łacińska Europa zacząwszy od demoralizacji naszych stanów doszła do wyzyskiwania naszéj łatwowierności na polu politycznym, gdyby cóż członkowie Tow. Paryzkiego cierpieli i pracowali razem z nami pod teutońskim obuchem, to wyrzekli by się niewątpiliwie łacińsko-germańskich mrzonek, obejrzeli by się za sprzymierzeńcami w inną stronę i nie pomiatali tak bezzasadnie szczepami sławiańskiemi, których żywotność tak łatwo sprawdzić w Czechach i Kroacji. — Wolno Tow. Literackiemu w Paryżu stawiać jakie się podoba konkursowe zadania, ale wolno i nam protestować przeciw mięszaniu w sprawy krajowe ludzi którzy od lat 40 nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli w polityce polskiéj.

* * *

Jubileusz Kopernika.

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauk, podjąwszy się przygotowania i urządzenia obchodu 400-letniéj rocznicy urodzin głośnéj na cały świat sławy Mikołaja Kopernika z Torunia, wydał pod dniem 3 maja r. z. odezwę i rozesłał takową na różne strony, by zachęcić wspólrodaków wiekopomnéj pamięci astronoma, do udziału w saméj uroczystości, mającéj się odbyć w miejscu jego urodzenia dnia 19 lutego 1873 roku, oraz do przedpłaty

1. na najlepszy życiorys Mikołaja Kopernika, konkursem ogłoszony, objętości 20 do 30 arkuszy druku;
2. na album ze 16 wielkich kart złożone, obeimujące Kopernikowe pamiątki;
3. na medal pamiątkowy, czterystaletniego jubileuszu.

Przedpłata ryczałtowa, w ilości talarów sześć, na te trzy wystawne pomniki, mająca się podwyższyć w roku przyszłym w dwójnasów, jest tak nizka, że tylko znaczna liczba przedpłacicieli potrafi pokryć koszta, wynoszące do sześciu tysięcy talarów, jakie sprawią: nagroda konkursowa, druk i wydanie pomnikowego życiorysu, obrazy albumowe i bicie medalu.

Tylko rok niespełna oddziela nas od terminu uroczystości, a już w ciągu bieżącego roku musi być zapłaconą nagroda, druk wykonany, album wykończone i medal wybity. Rąz podjęte monumentalne i dla tego kosztowne nakłady cofniętemi być nie mogą.

Podpisany Zarząd ponawia zatém prośbę do wszystkich szanownych obywateli, którym się zeszłoroczna odezwa z dnia 3 maja do rąk dostała i którzy niniejsze nasze ogłoszenie odczytają, aby wczas nabyć zechcieli karty prenumeracyjne, za które zaraz po dniu 19 lutego roku przyszłego odbiorą wzwyż wymienione trzy przedmioty pomnikowe; przedpłatę zaś aby złożyli albo na ręce osób do rozesłania odezw i biletów prenumeracyjnych przez nas uproszonych, albo wprost do Zarządu pod adresem czy to skarbnika naszego Dr. Mateckiego, (Poznań ulica Śto Marcińska Nr. 4) czy też sekretarza i konserwatora, Hieronima Feldmanowskiego (Poznań w Bazarze).

Ponawiamy oraz wniosek, aby na drodze dobrowolnych darów umożliwić przełożenie uwieńczonéj biografji na inne języki i wydanie taniéj i popularnéj książki dla ludu naszego, obejmującéj i opis całéj uroczystości jubileuszowéj, i krótki życiorys Mikołaja Kopernika z oznaczeniem w przystępny sposób opowiedzianém, wielkiéj doniosłości jego systemu.

Czasu swego Zarząd zda sprawę w pismach publicznych z dochodu i rozchodu całkowitéj przedpłaty. Tymczasowo upraszamy szanowne redakcje pism czasowych polskich, aby niniejsze powtórne odezwanie się nasze w łamach dzienników swoich ogłosić, i w zbieraniu prenumeraty łaskawie pośredniczyć zechciały. Po przysłaniu nam zebranéj w biórach swoich przedpłaty, odbiorą natychmiast bilety prenumeracyjne dla zapisanych u siebie przedpłacicieli.

W poczuciu sprawiedliwéj dumy narodowéj, że przed czterystu laty w mieście polskiém i z rodu i wychowania polskiego powstał mąż niewygasłéj na cały świat pamięci, co samą głęboką nauką i przyrodzonym geniuszem bez żadnych pomocy optycznych stał się wskrzesicielem nowéj astronomji, nic dziwnego, że nam go obca pozazdrościła narodowość. Ale właśnie dla tego powinniśmy najliczniejszym w prenumeracie udziałem pokazać światu i potomnym, że drogiemi nam są imię i zasługi wielkiego naszego współrodaka, a dniem uroczystym dla mieszkańców dawnéj Polski, dzień czterechsetnéj rocznicy jego urodzin w Toruniu.

Złożyli prenumeratę na wyżéj wymienione publikacje jubileuszowe po 6 Talarów.

Panowie Dobrowolski, redaktor Dziennika Pozn. dla rodaków z Liége — Smitkowski Leon z Poznania — Małkowski Konstanty z Warszawy — Jałowicki Aleksander z Litwy — Hilary z Lubomierza — Treter z Galicji — Rudloff z Lubeki — Wodzyński hr. Leon z Warszawy — Wodzyński hr. Władysław z Warszawy — Adamski z Poznania — Molinek Ferdynand z Wijewa — Kazubski z Potulic — Kucz — Szulczewski — Kierski — Pani Nieżychowska — Panowie Andersch — Grabski — Popliński — Jarocki — Połomski — Panna Przepałkowska z Kalisza (12 tal.) — Hr. Ciecierski Stefan — Hr. Poniński z Dominowa — Hr. Żółtowski Teodor z Nekli — Pan Potworowski Witold — X. Zienkiewicz, kanonik z Gniezna — X. Chybicki, proboszcz ze Stęszewa — X. Jarosz kanonik (zmarły w Gnieźnie) — X. Cybichowski, biskup z Gniezna — X. Dorszewski, kanonik z Gniezna — X. Wojciechowski, kanonik z Gniezna — Dr. Langiewicz — Pan Ołyński — P. Kotarski Tomasz z Cychrów pod Grójcem (6 rubli) — Wydział Rady Powiatowéj z Pilzna (11 złr.) — Panowie Przanowski Edward — Chłapowski Stanisław z Szółdr — Karśnicki z Mchów — Sczaniecki Konstanty z Międzychoda — Ludwik Dolański z Rakowy pod Samborem.

Poznań 28 Maja — H. Feldmanowski, sekretarz

Przedpłaciciele
na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

237.	Wny Piotr Czarliński	1 egz.
238.	Wny Ludwik Dolański w Rakowie p. Samborem	1 „
239.	Wny Herbst Walery w Antonienhütte	1 „
240.	Wny Rakowicz w Toruniu	1 „
241.	Wny Kamieński w Poznaniu	1 „

Skrzynka do listów.

P. Wdowiszewski w Ustrzykach: J. W. Drapera: History of the intellectual developement of Europe, wyszła w przekładzie niemieckim Bartelsa p. t. „Geschichte der geistigen Entwickelung Europas — 2 Aufl. Leipzig bei Wigand — kosztuje $3\frac{1}{2}$ tal. — Po przejrzeniu pracy Pańskiéj o Schinklu redaktor da listowną odpowiedź. —

P. Luc... Fal... w Krakowie: Stanie się zadość życzeniu Pana — co do obrazków to prosić będziemy późniéj; obecnie teka nasza przepełniona. —

P. Dr...... w Semlinie — Schmitta wysłaliśmy. Żródło w Wieliczce zatkane, stan wody codzień pomyślniejszy. Opisy Rapperswylu i Batignolles byłyby dziś musztardą po obiedzie, to już rzeczy stare i znane.

Abonentowi — — — Odebraliśmy. Nic słuszniejszego nad Pańskie uwagi, dzielimy je też w zupełności i niczego bardziéj nie pragniemy jak żeby naprawiony smak publiczności pozwolił nam postawić bellestrystykę na drugim planie. Ufamy że się nam to niebawem uda. Artykuły z przyrody dawać będziemy coraz częściéj.

P. Fl... Zg...: Panie — niepodobno!

Odezwa.

„W obec podniesienia sprawy oświaty ludu w naszym kraju, sprawy niewątpliwie najważniejszéj tak pod względem ogólnoludzkim jak narodowym, obowiązkiem jest każdego w miarę sił i możności współdziałać do przyspieszenia rozwiązania jéj na korzyść kraju. Gdy sprawa ta jest obecnie w fazie zbierania funduszów na rzecz oświaty, obowiązkiem jest każdego prawego człowieka nie tylko spieszyć z datkiem, nie tylko zachęcać do tego innych, ale i wyszukiwać sposoby do powiększenia funduszu. Czyniąc zadość temu ostatniemu obowiązkowi niżéj podpisana księgarnia przedsiębierze wydawnictwo, z którego czysty dochód przeznacza na rzecz funduszu na oświatę ludową.

Dzieło **Fr. Ch. Szlossera „Dzieje powszechne"**, które właśnie w tym celu przedsiębierzemy wydawać, jest jednem z najznakomitszych w swoim rodzaju, a tembardziéj pożądanem dla naszéj literatury, o ile że takowa jest niezmiernie ubogą w dzieła poświęcone dziejom powszechnym i przyswojenie „Dziejów powszechnych" Szlossera będzie dla nas bardzo cennym nabytkiem. Za wyborem tego dzieła przemawiała także i ta okoliczność, iż przeznaczając dochód na rzecz oświaty ludu i oznaczając cenę nizką, potrzebujemy zebrać wielką liczbę czytelników, aby dochód był większy, więc potrzeba było dzieła dla wszystkich równie przystępnego. Wykład popularny w dziele Szlossera właśnie najlepiéj się nadawał do wygody powszechnéj. I nakoniec sama wartość dzieła która powszechnie uznaną została tak, iż oryginał doczekał się bardzo wielu wydań pomimo iż wydania są nadzwyczaj kosztowne.

Wydanie polskie będzie tak taniem, jak są wydania ludowe tego dzieła w języku niemieckim tj. obliczony zeszyt sześcioarkuszowy w 96 stronnicach dużéj 8 na 35 centów tylko.

Pomimo tak niskiéj ceny całkowity czysty dochód z rozprzedaży całego nakładu wyniesie 17 tysięcy złr., a w pomyślnym razie, t. j. jeżeli liczba czytelników dojdzie 4 lub 5 tysięcy, co nie będzie rzeczą nadzwyczajną, gdy się zważy dobroć dzieła, jego potrzebę, taniość i cel najwznioślejszy, suma czystego zysku może podnieść się do 40 i 50 tysięcy złr. Będzie to zapewne tylko kropla w morzu, w stosunku do potrzebnéj sumy kapitału na podniesienie oświaty ludu, ale i morze z kropel się składa. Zbierajmy ziarnko do ziarnka, aż wypełni się miarka, aż uzbieramy tyle funduszu, ile potrzeba na oświatę ludu naszego.

„Dzieje powszechne" F. Ch. Szlosera wychodzić będą od lipca br. w zeszytach sześcioarkuszowych 2 razy na miesiąc, bez przerwy przez lat cztery, gdyż całe dzieło obejmie 96 zeszytów, czyli około 600 arkuszy druku. Cena całego dzieła wynosi w przepłacie we Lwowie 33 złr. 60 ct., z przesyłką w Austrji 35 złr. 52 ct. Po wyjściu z druku będzie podniesioną na 50 złr. Upraszamy wszystkich, dla kogo to nie będzie uciążliwem, o nadsyłanie całkowitéj przedpłaty z góry, w ten sposób bowiem wielce nam ułatwionem zostanie wydawnictwo.

Można jednak przedpłatę nadsyłać częściowo. Ćwierćrocznie we Lwowie wynosi 2 złr. 10 ct, z przesyłką w Austrji 2 złr. 22 ct, w Prusach 1 talar 15 sgr., we Francji 7 fr. 50 cent. Z góry opłaca się za ostatni kwartał wydawnictwa i za pierwszy, a następnie należy odnawiać przedpłatę w każdym kwartale z wyjątkiem ostatniego. Z góry zatem należy nadsyłać przedpłatę za dwa kwartały. Ktoby chciał prenumerować rocznie, opłaca z góry za 5 kwartałów.

Do dzieła dołączoną będzie lista wszystkich prenumeratorów.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, abyśmy mogli dokładnie wiedzieć ilość nakładu, powtórne bowiem dodrukowanie pociągnęłoby za sobą koszta nowe z uszczerbkiem dochodu.

Pieniądze najstosowniéj przesyłać za przekazem pocztowym, przyczem uprasza się o wyraźne wypisywanie nazwiska, miejsca zamieszkania, i ostatniéj poczty.

Adres: **„Do Księgarni Polskiéj we Lwowie nr. 12 ulica Kopernika."** (41)

Lwów 8 maja 1872 roku. **Księgarnia Polska.**

PROSPEKT.

Niżéj podpisany spodziewa się, iż odpowie ogólnym życzeniom czytającéj powszechności, przystępując do ogłoszenia wszystkich **pism El...y**, których wydanie pierwszego tomu przed dwoma laty we Lwowie doznało tak sympatycznego przyjęcia, że edycja w krótkim czasie prawie przez samą Galicję wyczerpaną została.

Nowe wydanie **Poezji El...y** pomnożone o drugie tyle nowemi utworami, ukażą się w bardzo ozdobnéj edycji, z illustrowanym tytułem rysunku I. Kosaka, najdaléj w pierwszéj połowie lipca r. b.

Życzący sobie nabyć **Poezje El...y** po przystępniejszéj cenie, raczą skorzystać z niniejszego ogłoszenia przedpłaty, albowiem po wyjściu cena zostanie podwyższoną, a nadto tylko dla **300 pierwszych prenumeratorów** dzieło całe na pięknym welinowym satinowanym papierze, dalsze zaś egzemplarze przeznaczone dla handlu księgarskiego, wyjdą na papierze zwyczajnym.

Prenumerata na 2 tomy, przeszło 30 arkuszy druku obejmujące, w 8ce, wynosi 3 złr. (2 talary) dla posiadających już pierwsze wydanie tomu pierwszego, ustanawia się oddzielnie przedpłata na tom drugi 2 złr. (1 tal. 10 sgr.)

Druk dzieła już rozpoczęty w nowéj drukarni „Czasu" p. Leona Paszkowskiego, nowo sprowadzonemi czcionkami.

Uprzejmie upraszam o wczesne nadsyłanie przedpłaty, albowiem na papierze welinowym taka ilość egzemplarzy drukować się będzie, jaka zostanie zaprenumerowaną.

Prenumeratę przyjmują uproszone Redakcje pism, oraz wszystkie księgarnie. Nadsyłać można także najlepiéj i najtaniéj za przekazem pocztowym wprost pod adresem moim.

A. Nowolecki,
wydawca „Czytelni ludowéj" w Krakowie.

(42)

Już wyszedł Iszy zeszyt dzieła

Encyklopedja Ogólna
wiedzy ludzkiéj,

wydawana staraniem red. Tyg. Illustrowanego. — Zeszyt Iszy od A do Akielwisz 80 ct.

Całe dzieło wyjdzie w 48 zeszytach i to każdy co 15 dni. Prenumerata na tom składający się z 8 zeszytów wynosi **2 tal. 15 sgr.** a dla **prenumerujących Tyg. Illustrowany lub Wędrowiec tylko 1 tal. 15 sgr. za tom, czyli 7½ sgr. za zeszyt.**

Zeszyt Iszy na żądanie przesyłają do przeglądu

Mieczysław Leitgeber i Sp.
księgarnia i skład nut w Poznaniu. (44)

Co dopiéro wyszło nakładem **M. Leitgebra i Spółki:**

Pamiętniki (43)
Jana Kilińskiego

szewca i pułkownika 20 regimentu. Z portretem Kilińskiego. 132 str. = **Cena tylko 6 sgr.**, z franko przesyłką 7 sgr.

Nadto polecamy po cenie znacznie zniżonéj

Pamiętniki
Karola Ursyna Niemcewicza
z 1831 roku.

119 str. 20 sgr. Cena zniżona **tylko 7 sgr. 6 fen.**

M. Leitgeber i Sp.
Poznań, Plac Wilhelmowski Nr. 3ci.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.